

O Stefanie Jarocińskim¹

K r z y s z t o f P o m i a n

2, 3 i 5 listopada ubiegłego roku Minnesota Orchestra wykonywała m. in. trzecią symfonię Henryka Góreckiego. W wydanym z tej okazji programie, na który trafiłem w internecie, znajduje się następujący wywód. Tłumacząc: „Dzięki duchowemu, moralnemu i artystycznemu przywództwu Witolda Lutosławskiego, starszego od Góreckiego o dwadzieścia lat, późne lata 1950. i lata 1960 były w Polsce dla muzyki okresem pasjonującym – właściwie bardziej pasjonującym niż inne. (Największy polski kompozytor, Chopin, wyjechał przecież z kraju w wieku 20 lat i stworzył swe najważniejsze dzieła w Paryżu i na Majorce). Sam Lutosławski, Tadeusz Baird, którego względnie wczesna śmierć zabrała światu kompozytora muzyki o niezwykle pięknie ekspresyjnym i zmysłowym, Krzysztof Penderecki i Górecki okazali się wkrótce czołowymi postaciami tego śmiałego i pasjonującego polskiego odrodzenia”. Na marginesie dużymi literami wydrukowano zdanie o Góreckim: „Ogromna moc kryje się w tym niepospolicie żywotnym i wrażliwym kompozytorze. Z wielkim napięciem duchowym słuchamy jego muzyki przesyczonej głębokim uczuciem i ‘metafizycznym’ niepokojem”. Podpisany pod tym cytatem jest Stefan Jarociński, a pochodzi on z książki, która ukazała się w roku 1965; znając tempo wydawania książek w PRL można spokojnie przyjąć, że została ona napisana kilka lat wcześniej.

Narzucany dziś odgórnie w „IV Rzeczypospolitej” klimat autentycznej pogardy dla inteligencji i przekreślenia wszystkich osiągnięć kultury polskiej z czasów PRL, a w szczególności z najbardziej chyba owocnych lat między październikiem 1956 a marcem 1968, tworzy ostro kontrastowe tło dla tej niedawnej amerykańskiej opinii o ówczesnej muzyce polskiej. A przecież podobną można wypowiedzieć również o malarstwie, rzeźbie, grafice i plakacie, o teatrze, o filmie, o literaturze, zwłaszcza o poezji, o filozofii, o naukach humanistycznych i społecznych. Kultura potrafi rozwijać się w różnych warunkach, niekiedy nawet bardzo trudnych, byle tylko zostawiono jej pewien, choćby ograniczony zakres wolności. Tak właśnie było w latach „naszej małej stabilizacji”. Wprawdzie ten zakres był wtedy szerszy dla muzyków i artystów niż dla pisarzy, filozofów i humanistów, ale i oni dysponowali pewną autonomią, którą umieli w znacznej mierze wykorzystać. Marzec 1968 roku był nie tylko pacyfikacją studentów i bezkrwawym na szczęście antysemitycznym pogromem uruchomionym dla załatwienia wewnętrznych porachunków w aparacie PZPR i przyjętym z aprobatą przez część opinii wierną dziedzictwu endecji

¹ Niniejszy tekst ukazał się drukiem na łamach „Zeszytów literackich” (nr 98). Serdecznie dziękujemy Autorowi za zgodę na przedruk artykułu.

i Falangi. Był zarazem atakiem na inteligencję, próbą odebrania kulturze tej autonomii, jaką miała od dwunastu lat i zastąpienia niepokornych ciemniakami, jak określił sprawców i beneficjentów tej operacji Stefan Kisielewski. Próbą ostatecznie nieudaną – ale wtedy nikt nie mógł być tego przewidzieć. Jak nikt nie mógł być wyobrazić sobie jeszcze całkiem niedawno, że próbę taką podejmie się ponownie w niepodległej Polsce.

Stefana Jarocińskiego poznałem w sierpniu 1956 roku, między Poznaniem a Październikiem. Spotkaliśmy się całkiem przypadkowo w Małym Cichym, w pensjonacie gaźdżiny Żegleniowej. Państwo Jarocińscy z dziećmi spędzali tam urlop, chyba zresztą nie po raz pierwszy. Moja przyszła żona i ja wynajmowaliśmy tam mały pokoik. Znałem jego nazwisko z *Przeglądu Kulturalnego*, gdzie drukował eseje o muzyce, które złożyły się na tom *Orfeusz na rozdrożu*. On znał moje z *Po prostu*, gdzie jesienią poprzedniego roku ogłosiłem dwa artykuły. Wzajemne zaufanie przyszło szybko. Zresztą były to dni, gdy po latach podejrzliwości i strachu bariery międzyludzkie upadały dość łatwo, o ile tylko używano się tego samego języka i miało podobne lektury. Podczas spacerów rozmawialiśmy o Sartrze, w którym zaczytywałem wtedy się z gorliwością neofity, i o sztuce współczesnej, zwłaszcza o muzyce, którą, jak nikt, umiał uczynić zrozumiałą. Dla mnie było to rewelacją. O ile bowiem wyniosłem z domu zainteresowanie dwudziestowiecznym malarstwem, z którym zetknąłem się i bezpośrednio, i dzięki reprodukcjom, to gusta muzyczne mojej matki pozostawały bardzo konserwatywne. Szymanowski, którego nazwisko było znane, ale którego muzyki się nie słuchało, uchodził za skrajnego nowatora. A programy muzyczne Polskiego Radia z lat 1950-56 nie pozwalały zapoznać się z muzyką XX wieku. Rozmawialiśmy również o czekającej nas przyszłości: po wydarzeniach poznańskich wszyscy wiedzieli, że tak, jak jest, dłużej być nie może i że jesienią coś musi się stać.

I stało się. Od jesieni 1956 do jesieni 1957 pochłaniały mnie kolejno polityka i kończenie pracy magisterskiej. Nie widywaliśmy się wtedy. Zresztą nie pamiętam kiedy zaczęliśmy odwiedzać się w Warszawie, jak nie pamiętam kiedy Stefan zaproponował mnie, byśmy mówili sobie po imieniu. Zapewne pod koniec lat pięćdziesiątych. Poczynając od tego okresu, nasze spotkania, dość częste, stapiają się w jeden ciąg wspomnień, z którego wyłaniają się poszczególne epizody zatrzymane przez pamięć niekoniecznie ze względu na ich wagę: dyskusja przy kawie na nieistniejącym już półpięterku w „Bristolu” na temat książki o muzyce współczesnej, którą chciałem, by napisał dla tworzonej przeze mnie w PWN serii wydawniczej *Omega*, czego ostatecznie nie zrobił; jakaś wizyta w słoneczny dzień w Milanówku, gdzie państwo Jarocińscy wtedy mieszkali; obrona pracy doktorskiej Stefana w Instytucie Sztuki i wieczorne przyjęcie z tej okazji w domu państwa Lutosławskich z udziałem, jeśli dobrze pamiętam, Pawła Beylina, Michała Bristigera i Mieczysława Porębskiego; jedna z licznych kolacji w Alejach Jerozolimskich, gdzie zamieszkał po śmierci pierwszej żony; inna taka kolacja z burzliwą dyskusją polityczną między Wiesławem Juszcakiem i mną z jednej strony, a Henrykiem Krzeczkovskim z drugiej, podczas której wielki i piękny wilczur Stefana stał z miną niewiniątka i zarabiał na opinię znakomicie wyszkolonego psa, choć zarazem ogonem strącał ze stołu kanapki, po czym grzecznie czekał,

by pozwolono mu je zjeść; pierwsza wizyta Stefana u nas z drugą żoną, Hanią; urodziny Justyny; długie rozmowy o *Filozofii nowej muzyki* Adorno, którą przeczytałem pod jego wpływem i częściowo przynajmniej zrozumiałem dzięki jego komentarzom. W trudnym dla mnie okresie po marcu 1968 roku widywaliśmy się jak przedtem i kontynuowaliśmy nasze prywatne, dwuosobowe seminarium o muzyce i filozofii. Jego efektem był mój szkic o *Sonacie Belzebuba* Witkacego, której bez dyskusji ze Stefanem nie umiałbym zapewne odczytać uwzględniając problematykę nowej muzyki.

Po naszym wyjeździe do Francji w 1973 roku widywaliśmy się z konieczności znacznie rzadziej. Mniej więcej raz do roku, podczas wizyt Stefana w Paryżu, udawało się nam jednak spędzić razem kilka wieczorów. Zabierał od nas „Kultury” i książki Instytut Literackiego; wkładał je do torby z serami w przekonaniu, że żaden celnik nie będzie ich tam szukał. Rozstawaliśmy się zawsze ze świadomością, że mamy jeszcze mnóstwo tematów do omówienia i że dalszy ciąg nastąpi w Paryżu, jeśli nie w Warszawie. Tak też żegaliśmy się – niepoprawni optymiści – jesienią 1979 roku, nie przypuszczając nawet, że widzimy się po raz ostatni.

Zdaniem znawców Stefan był krytykiem muzycznym o rzadko spotykanej przenikliwości. Świadczy o tym cytowana wyżej opinia o muzyce Henryka Góreckiego wypowiedziana na początku lat 1960., nim jeszcze powstały dzieła, które przyniosły mu światową sławę. Świadczy o tym chyba jeszcze dobitniej przytoczony ostatnio w „Ruchu Muzycznym” list do Witolda Lutosławskiego z 1948 roku ze zdaniem: „Masz wszystkie elementy potrzebne do tego, by w muzyce polskiej odegrać przynajmniej tę rolę, co Chopin”. Nie jestem kompetentny, by oceniać dorobek Stefana w jego wymiarze swoście muzykologicznym. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na jego miejsce w polskiej humanistyce. Miejsce wyjątkowe w tej mierze, w jakiej był on jednym z bardzo nielicznych autorów umiających mówić o muzyce w sposób, który pozwalał przeciętnemu melomanowi lepiej rozumieć to, co słyszy. Umiających włączać muzykę i jej „hermetyczne”, jak je określał, problemy w ogólną dynamikę kultury. Szczególnie wrażliwy na „podstawową wieloznaczność każdego prawdziwie artystycznego przekazu” – to jego słowa - skupiał uwagę na tym, jak dzieło muzyczne jest wyposażane w znaczenia pozamuzyczne, wyrażane słownie, przez samego kompozytora, przez wykonawców, przez okoliczności zewnętrzne, przez krytykę przez publiczność. Te znaczenia pozamuzyczne, choć nie należą do samej struktury dzieła, gdyż muzyka, co Stefan bardzo mocno pokreślał jest sztuką asemantyczną, pozostają z nim w związku, który nie zawsze jest arbitralny, a niekiedy wtapiają się w nie do tego stopnia, że nie sposób ich odeń odłączyć. Odślanianie stosunków między muzyką a różnorodnymi znaczeniami, które się na niej osadzają, nawarstwiają się wraz z upływem czasu, jest w centrum takich zwłaszcza książek Stefana, jak *Debussy a impresjonizm i symbolizm* (1966; wydanie drugie: 1976) oraz *Ideologie romantyczne* ze znamienym podtytułem *5 esejów o związkach muzyki z przemianami kultury* (1979). Ale problematyka pochodna wobec pytania o te stosunki wyznacza linię przewodnią całej jego twórczości i wpisuje ją przeto w główny nurt polskiej humanistyki, której pozostaje ona jednym z najwybitniejszych osiągnięć.

Stefan umarł w wieku 68 lat. Nie był już młody ale humaniści dojrzewają późno, a jemu, jak całemu jego pokoleniu, wojna zabrała prawie sześć lat, a stalinizm – co najmniej siedem. Wprawdzie mógł wtedy zajmować się Chopinem, nie był to więc dla niego czas stracony, nikt nie wie jednak, czym by zaowocowały w jego twórczości burzliwe przemiany muzyki i myśli o muzyce pierwszych lat powojennych na Zachodzie, gdyby było mu dane w nich uczestniczyć. Ale muzyka polska po 1949 roku była odcięta od muzyki światowej, z którą odtworzyła swe kontakty dopiero po Październiku 1956, czego widowym przejawem stała się doroczna Warszawska Jesień. W przygotowywaniu polskich melomanów na przyjęcie muzyki nowoczesnej, do której odtąd uzyskali dostęp, istotną rolę odegrał wspomniany już *Orfeusz na rozdrożu*, książka zarazem popularyzatorska i na swój sposób polityczna, gdyż zrywająca z narzucanymi w latach stalinowskich kanonami socrealizmu. Później Stefan odszedł od takiej muzycznej publicystyki, by skupić się na pracy naukowej. Dziś, niemal trzydzieści lat po jego śmierci pamięć o nim żyje nadal, a jego dorobek okazał się odporny na upływ czasu. Przełożony na kilka języków *Debussy a impresjonizm i symbolizm* stał się pozycją klasyczną, gęsto cytowaną, podobnie jak *Contemporary Polish Music*, o czym świadczy choćby przytoczony tu program Minnesota Orchestra. W 1981 roku odbył się wieczór poświęcony osobie Stefana z prawykonaniem dedykowanego jego pamięci *Grave* Witolda Lutosławskiego. Większa sesja o nim i wokół niego odbyła się w roku 1997. Teraz zbieramy się ponownie, by wrócić do niego myślą. Jestem pewien, że nie po raz ostatni.

Spotkanie ze Stefanem i dwadzieścia lat przyjaźni z nim – to ważny rozdział mojego życia. Zawdzięczam mu bardzo dużo. Miał inne doświadczenia, inny krąg lektur, inaczej ukierunkowane zainteresowania i bagaż wspomnień cięższy o całą epokę historyczną. Nieuwikłany w doraźnie konflikty polityczne, wnosił do rozmów na tematy bieżące pewien dystans – jakże niezbędny – i przekonanie, że kultura należy, mówiąc po kantowsku, do królestwa celów a nie środków. Był osobą o rzadko spotykanej, zewnętrznej i wewnętrznej elegancji czy dystynkcji, która sprawiała, że nie mógł przejść niezauważony. Robił wrażenie postaci nieco staromodnej, ucieleśniał bowiem w sposób wręcz doskonały znany z literatury typ polskiego inteligenta umiającego zachować godność w trudnych warunkach i chroniącego podstawowe wartości moralne i estetyczne kultury narodowej, ilekroć znajdowały się w niebezpieczeństwie, by zaszczerpić je w sprzyjającej chwili następnym pokoleniom. Bez deklamacji i zwracania na siebie uwagi, ze spokojem i łagodnym humorem, ale zarazem z nieustępliwą konsekwencją, z jaką wykonuje się powinność uwewnętrznioną tak głęboko, że spełnianie jej staje się czymś równie naturalnym, co oddychanie.

Zostały jego książki. Zostali przyjaciele, z których każdy pozostawał pod jego urokiem i wpływem, choć on nie zabiegał o to, lecz po prostu był sobą. I w pamięci – do końca – wysoka, szczupła sylwetka siwego pana, z torbą pełną książek w ręku, oddalająca się na tle zapadającej nocy.

Antony, kwiecień 1981- kwiecień 2007